Ner 42. Kraków, 21go Października. 1861.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. . a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerújący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Razi nadzwyczajnie, gdy widzimy pewne opuszczenie się w dziewczynce, które aż niby w niedołęztwo przechodzi, skoro służąca wszystko a wszystko około jej osóbki zrobić musi; gdy ją nietylko uczesze, ale wkłada na nią rzecz każdą, od bócików aż do pierścionka. Dziewczynka dająca się w ten sposób ubierać, to istny automat. Ale i tutaj nieoględność wychowania stała się winną tej opieszałości i niedołężnego lenistwa. Ośmioletnia dziewczynka już powinna sama przyszyć sobie tasiemkę; dwunastoletnia starannie uczesać się winna, a piętnastoletnia niechaj sobie we wszystkiem usłużyć potrafi.

Zdjęte wieczorem sukienki powinny być uważnie zawieszone lub ułożone, ażeby po nie, i w noc ciemną, nagle zbudzona trafić od razu mogła — a nie porozrzucane po całej sypialni.

Panienka niechaj dba, by wszystko w porządku było i czyste; by pokój był sprzątniony — a doda jej to zalety, gdy sama kurz zetrze, gdy sama wyczyści zwierciadło.

Krosienka powinny być starannie okryte; robota złożona w skrzyneczkę, albo w koszyczek, wraz z naparstkiem i nożyczkami, by nie miała potrzeby szukać ich po wszystkich zakątkach. Książki powinny być ustawione na pułce, piśmienne przedmioty w porządku; atrament w kałamarzu, pióro, ołówek i scyzoryk pod ręką.

Niechaj się nie lęka przynieść sobie wody, pudełko, krzesełko i t. p. nie ubędzie jej przez to ani wdzięku, ani powagi, — a raczej przeciwnie.

Pani *** jechała z córką, dorosłą już panną, do wód zagranicznych. Panna, w *partessach* wypieszczona, krzywiła się strasznie ile razy przyszło wysiadać i przesiadać się i było potrzeba zabierać z sobą, nietylko parasolkę, okrywkę; ale i torebkę. Matka bo nawet i jakąś skrzyneczkę dźwigała, obok dużego i ciężkiego *sac de voyage*; a córka się nie kwapiła, by ją w czemkolwiek wyręczyć, i tylko szeroką strzepywała sukienkę, oglądając się z kwaśną miną na brak posługaczy. Było to w pierwszych latach po utworzeniu kolei żelaznej, i posługa na przystankach nie była tak liczną i tak dobrze urządzoną, jak dzisiaj, a zatem podróżni sami swoje manatki zabierać musieli. Dwóch młodych współrodaków uważało od pierwszej chwili wstąpienia do wagonu te jakieś *pretensye* i ociążałość panny — i zataiwszy, że są Polakami, bawili się tą małą komedyjką. Gdy przyszło do zmiany wagonów, a zaczęto zrzucać kufry, pudła i tłumoki, — matka, obładowana płaszczem, parasolem, torbą i skrzyneczką, podjęła jeszcze walizę i odciągnęła ją na stronę. Panna tymczasem z parasolką i okrywką na ręku stała bezczynnie i przypatrywała się ruchowi.

— *Nun, fort damit!* — popchnął jeden ze służby kolejowej kuferek stojący w drodze, własność tych pań. — *Nehmen sie fort!* — zawołał na pannę.

— *Aber wie?* — skrzywiła się tamta.

— *Mit den Händen, liebes Mamselchen, mit den Händen! Fort! fort!*

Stojący opodal rozśmiali się, a panna, jak niepyszna, rumiana jak poziomka, schwyciła za antabę i powlokła kufer o kilka kroków.

Przypomina mi się dobra w tym rodzaju anegdotka, przeczytana w jednym z obcych dzienników. Młody Niemiec — nazwiemy go Miller — przybył do Nowego Jorku w celu zrobienia losu, jak to wielu czyni Niemców. Gdy ze statku znoszono rzeczy, postawiono i przed nim kuferek, niezbyt duży i nieciężki wcale, a pan Miller, jakkolwiek Niemcy są dosyć praktyczni ludzie, oglądał się na wszystkie strony i wzrokiem szukał kogo, coby ten kuferek za nim do hotelu zaniósł. Opodal stał jakiś mężczyzna i z zajęciem patrzał się na niego. Miller nań zawołał: czyliby mu kuferka do najbliższego hotelu nie chciał zanieść. Nieznajomy skinął głową, podjął kuferek i włożył go sobie na ramię. Miller szedł obok niego, i kazał się prowadzić jako obcy zupełnie. W tem niosący kuferek zagadał do niego po niemiecku. Miller uradowany zawołał: Jesteś Niemcem? — Tak jest, a poznałem w panu Niemca także od razu już to po fizyonomii, już to po łamanej angielszczyznie. — Dawno jesteś w Ameryce? — Lat kilkanaście. — Następnie zaczął współrodak wypytywać Millera zkąd jest rodem, jaki sobie zawód obrał, jakie ma widoki w Nowym Jorku i t. p. Rozmówili się z sobą poufnie i życzliwie, i Miller był wielce zadowolony, że wybór jego padł właśnie na tego tragarza. Gdy przyszli do hotelu i tragarz ustawił kuferek, zapytał Miller:

— Ile żądasz za swoją fatygę?

— Ośm dollarów! — odrzekł współrodak.

— Ośm... dollarów! — zawołał Miller, i aż spotniało mu czoło.

— Ośm dollarów.

— Ależ to jest nadzwyczaj wiele!

— Pocóż pan zemną nie ugodziłeś się pierwej: obecnie mam prawo żądać tyle, ile zechcę. Mógłbym i dwadzieścia dollarów zażądać: takie jest prawo w Amery-

ce. Wszystko potrzeba z góry ugodzić. Zapytaj pan gospodarza.

Miller się skwasił, gorzko mu się zrobiło; ale musiał ośm dolarów zapłacić, gdy i przywołany gospodarz żądanie tragarza jako słuszne uznał.

W następną niedzielę wchodzi do niego jeden z posługaczy hotelowych.

— Pan Miller z Norymbergu?

— Tak jest.

— Pan przybyłeś w przeszły wtorek do Nowego-Jorku?

— Tak.

— Oddano dziś list do pana.

Miller chwyta go z zajęciem; był to bilecik, w którym go jakiś pan Fiszer na objad do siebie zaprosił.

— Któż jest ten pan Fiszer? — zapytał.

— Nie wiem. Nie znam go.

Miller ubrał się starannie, łamiąc sobie głowę owem zaproszeniem tajemniczem — i kazał się zawieść na ulicę wskazaną i przed kamienicę oznaczoną, ugodziwszy się pierwej z fiakrem, stósownie do odebranej nauki.

Mieszkanie pana Fiszer było okazałe; służący w przedpokoju otworzył gościowi drzwi do wykwintnie przybranego salonu, w którym kilkunastu ujrzał mężczyzn.

— *Master* Miller — zapowiedział lokaj przybyłego.

Niebawem nadbiegł gospodarz w czarny frak ubrany, z uśmiechniętą przyjazną twarzą. Miller w nim od razu owego poznał tragarza — zdumiał się, osłupiał, zaniemiał, że śni.

Pan Fiszer drugim przedstawił go gościom. Poczem wziął go na bok i wyrzekł:

— Jestem od lat kilkunastu w Ameryce, pracą i zabieżnością dorobiłem się dość znacznego majątku alem rąk nie żałował— dodał z uśmiechem. Gdym pana spotkał, wracałem właśnie z wycieczki za interesem z okolicy. Moja nieco zroszona i zakurzona suknia złudziła ciebie. Poznałem, żeś Niemiec i obudziłeś zajęcie moje. Zażądałeś, bym kuferek twój za tobą do hotelu poniósł, a mogłeś to sam uczynić, bo w Ameryce potrzeba usłużyć samemu sobie—a postanowiłem dać tobie zbawienną nauczkę. Podjąłem kuferek, który wcale nie był ciężki, i tem bardziej podziwiałem nieoględność twoją i tę jakąś pańskość europejską w szukającym chleba po za Atlantykiem. W Ameryce, mój kochany rodaku, pańskość nie popłaca, a lenistwo głód sprowadza. Przyjm udzieloną ci naukę, a korzystaj z niej — i uścisnął mu rękę. — A teraz proszę do stołu, do którego nie byłbym cię dzisiaj mógł zaprosić, gdybym nie był pracował i oszczędzał.

Pod serwetą znalazł Miller zwinięte w papier owe ośm dollarów, dane za przeniesienie kuferka.

Starszym osobom posłużyć, podnieść szybko, gdy co upuszczą, przynieść skwapliwie, gdy czego potrzebują, ozdobi panienkę i zjedna jej przychylność każdego. Gdy przeciwnie: ociężałość, nieuwaga, nieuczynność, lekceważenie—wielce zniechęcają i sprowadzą jej przycinki niegrzecznej, zarozumiałej, źle wychowanej, a niekiedy i gorszej jeszcze. Spadnie wtedy niewątpliwie zarzut i na matkę, jako też i na osoby, które na wychowanie dziewczynki wpływały.

KLAUDYNA POTOCKA.

(Dokończenie).

Coraz gorszy i boleśniejszy stan naszego kraju, coraz przykrzejsza dola zmuszonych opuszczać swą ziemię, coraz także dotkliwsze wywierały na serce Klaudyny wrażenia. Żyjąc prawie tylko wieściami o sprawie kraju, jakżeż okropnie cierpiała, gdy te wieści coraz to smutniejsze bywały, gdy nic a nic pomyślnego nie podawały jej sercu spragnionemu tak dawno jakiejkolwiek pocieszającej nadziei! Mimo to jednak, iż stósunki ówczesne okropny i przerażający przedstawiały obraz naszej biednej ojczyzny, mimo to, że Klaudyna, nad jej niedolą bolejąc, najsmutniejsze chwile w nieszczęśliwej tęsknocie za krajem pędziła, mimo to, jej wielka dusza ani na chwilę nie zwątpiła w moc Bożą, ani na chwilę nie straciła ufności, tej jedynej nieszczęsnych pociechy. Ile mogła, owszem pocieszała i drugich, nie dozwalając im nigdy upaść na duchu, lub zwątpić w miłosierdzie Boże.

Daremne usiłowania serc szlachetnych, a poświęcających się dla sprawy ogółu z całą miłością przywiązanego dziecka do matki, wywołały tylko nowe a liczne ofiary w kraju, sercu Klaudyny nowe a coraz boleśniejsze zadając ciosy. Wiedziała ona bowiem dokładnie o wszystkiem, co się w kraju działo, bo nawet sama pośredniczyła zawsze między tymi, którzy za granicą zostawali, a tymi, którzy w kraju do nowych gotowali się ofiar.

Z tego też powodu zwróciła na siebie oczy prześladujących ją władz saskich. Prześladowania te stawały się coraz srozszemi, tak że wkrótce osobista wolność Klaudyny zupełnie ograniczoną została nieprzyjazną surowością praw a raczej nadużyć urzędniczych.

Kazano jej nareszcie opuścić Drezno i Niemcy. Zniewolona do wykonania tego rozkazu, udała się do Genewy, gdzie także znajdowali się rodacy, wówczas po całej prawie kuli ziemskiej rozprószeni. Tu więc w Genewie była znowu Klaudyna w swoim żywiole niesienia pomocy nieszczęśliwym. Wspierała potrzebujących, niektórym stałą pensyą ze swego majątku wyznaczając. I nie było też serca, z któregoby uczucie wdzięczności nie zanosiło do Stwórcy gorących modłów o błogosławieństwo dla tak dobroczynnej istoty, jaką była Klaudyna Potocka. Jej imie głośnem było w całym świecie wychodźców, a z najodleglejszego zakątka naszego tułactwa, jej piękną ośmieleni sławą, zgłaszali się nieszczęśliwi do niej po wsparcie i pomoc. Klaudyna nie odmówiła nigdy.

Trudy jednakże odbytych podróży, smutek i boleść, dręcząca duszę jej okropnie, i to nieograniczone współczucie, z jakiem Klaudyna nad losem kraju i rodaków ubolewała, wszystko to wcale niekorzystnie na wątłe jej siły wpływało, i coraz widoczniej zdrowie jej nadwerężało. Cierpienia moralne pociągają za sobą chorobę ciała. Związek bowiem między ciałem a duchem naszym, tak jest silny, tak nierozdzielny, iż cios zadany duchowi powalić zdoła o ziem zupełnie zdrowe i silne ciało; ale też i najpotężniejszy duch i najzdrowszy długo w chorem ciele pozostać nie może. Ciągła tęsknota za krajem, ciągle bolesne i okropne o nim wieści — widok nieszczęsnych braci rodaków w najokropniejszej nieraz zostających nędzy, o to cierpienia moralne Klaudyny, niszczące jej zdrowie, i jej przyjaciół o jej przyszłość zatrważające.

Jak zaś z nieustającą troskliwością zajęta była Klaudyna i w tej wzmagającej się swej chorobie, o los spółrodaków swoich, poznają szanowne czytelniczki z własnoręcznego jej listu, pisanego z Genewy 5go grudnia 1833 do jenerałowej Kazimierzowej Małachowskiej, który to list, znajdujący się w zbiorze Leonarda Chodźki, w całości tu przytaczamy:

„Donieś nam pani, co myślą w Tuluzie, i czy „czują? Polaków podobno mało tam jest? Z tutej„szych większa część do Francyi się wybiera, (na„wet pewien fundusz na drogę dla nich król fran„cuski przeznaczył), kilkudziesiąt kanton Vaud „chce utrzymać, inni wybrali sobie gorzki chleb, „którego się stale trzymać myślą. W Genewie „wszyscy prawie pracują i piękny dają przykład. „Zdrowie moje, czyli właściwie mówiąc, choroba, „nie pozwala mi się z nimi widywać, jakbym so„bie życzyła. Każde wzruszenie okupić muszę „okropnemi boleściami — a jak to naszych poczci„wych, szlachetnych, nieszczęśliwych braci z obo„jętnością widzieć? Gdybym cierpieniem mojem „choć jedną łzę ich otrzeć potrafiła, o jak chętnie„bym im się poświęciła! Jeden z nich z nami ja„da, i prawdziwą jest mi pociechą, przez niego i „o drugich wiem; — a z resztą z kanapy do łóżka „się przenoszę, dalej już nie mogę. Poleć mię pa„ni dobrej pamięci jenerała.

Klaudyna Potocka."

Któż z tego listu nie pozna wzniosłej duszy i najszlachetniejszych uczuć naszej nieodżałowanej rodaczki? Gdybym cierpieniem mojem, powiada Klaudyna, a zapewne szczerze i serdecznie powiada, choć jedną łzę ich otrzeć potrafiła, o jak chętniebym im się poświęciła! Zaprawdę, dusza do takiego poświęcenia skora, posiadała niezawodnie świętą łaskę u Boga! Uczmy się — o uczmy z tego drogiego wzoru takiego poświęcenia się dla naszych braci! Jesteśmy nieraz przecie pewni, że daleko mniejsze poświęcenie ze strony naszej od tego, z jakiem Klaudyna na utratę zdrowia się narażała, zdoła nie jednę łzę otrzeć nieszczęśliwemu: spieszmy więc wtedy bez ociągania się, bez wahania z pomocą naszą, a w duszy naszej rodząca się po dokonanem poświęceniu rozkosz prawdziwa, nadziemska rozkosz, będzie nam najdroższą nagrodą i zapłatą! Trzeba nam się z takich szlachetnych przykładów uczyć prawdziwej miłości Boga, ojczyzny i bliźnich, bo choć o tem wszystkiem mówimy dziś tak wiele i piszemy — w całem jednak znaczeniu tego słowa, bardzo jeszcze mało pomiędzy nami jest serc — szczerze Boga, ojczyznę i bliźnich miłujących, serc zdolnych do poświęcenia bez granic, bez rachuby, bez oględności na siebie.

Przypatrzmy się oto ostatnim chwilom szlachetnego żywota Klaudyny! Na czemże je spędziła? czemże sobie tak wczesną i nieodżałowaną śmierć sprowadziła? Poświęceniem odpowiadamy, i znowu poświęceniem. Jako życie jej całe było najszczytniejszem poświęceniem — tak i koniec jego, tak i sama śmierć także była poświęceniem bohaterskiem.

Sprawa braci, za granicą ojczyzny przebywających, którzy połączyli się w jedno towarzystwo spólnych i szlachetnych celów, wymagała koniecznego porozumienia się z krajem, którego nikt, bez narażenia się na własną i drugich zgubę, nie mógł przedsięwziąść.

Klaudyna była wtedy bardzo cierpiącą, gdy się o potrzebie tego porozumienia dowiedziała, a będąc zawsze do niesienia pomocy bliźnim gotową, i tym razem natychmiast się podejmuje tej swoich braci potrzebie zadość uczynić. Chora, cierpiąca, niewygodną rozpoczyna podróż, i mimo tysiącznych przeszkód dostaje się do Wielko-Polski. Przekonanie wewnętrzne o tem, że trudy i niewygody, które podejmowała, są tylko poświęceniem dla braci, znosiła je Klaudyna cierpliwie, nic nie zważając na to, ile sobie przez to na zdrowiu szkodziła.

Gdy się jednak, prześladujący ją ciągle rząd pruski o jej pobycie w Poznańskiem dowiedział, pochwycono ją natychmiast i otoczoną żandarmami do granicy szwajcarskiej odesłano...

Klaudyna przeto powróciła do Genewy — lecz powróciła jak gdyby tylko po to, aby tam życie swoje zakończyć, gdzie najwięcej dobrego zdziałała. Niewygody podróży pogorszyły stan jej zdrowia okropnie. Troskliwość i opieka najbieglejszych lekarzy nie zdołały już rozświetlić dogorywającego jej życia. Dnia 8go czerwca 1836 roku zasnęła w Bogu.

Głębokim żalem przejęci rodacy Klaudyny, znajdujący się w Genewie, odprowadzili jej zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku i obcą przysypali ziemią.

Wkrótce rozeszła się wieść o jej śmierci po całym kraju i do licznych smutków nowy i wielki smutek przydała.

Polacy, znajdujący się w Genewie, postanowili uczcić Klaudynę pomnikiem, na który zaczęli od razu zbierać składki pieniężne. Gdy atoli później zważono, że zebranemi pieniądzmi, nie kamienny, ale odpowiedniejszy życiu i dobrodziejstwom Klaudyny — bo żywy wznieść można pomnik — wzniesio go w r. 1838 ustanowieniem towarzystwa, mającego na celu wsparcie i wychowanie sierót polskich i zapomogę najuboższych dzieci wychodźców. Ten pomnik najpiękniejszą jest pamięcią o życiu tej, która żyła tylko dlatego na ziemi, aby drugim usługiwać i dopomagać.

KONIEC.

BEATRIX.

„Οὔτοι συνέχβειν ἀλλὰ συμφιλεῖν εφυν."

Utwory pana czytałam starannie,
Lecz niema słówka w nich do Beatricze:
Jak-byś Pan nigdy żadnej pięknej pannie
Nic nienapisał... a ja, na to liczę:

Pani! twą naprzód niech mi wolno będzie
Uścisnąć rękę za tak wiele trudu...

Trudu?...

...zapewne — bo *nigdzie i wszędzie*
Utwory moje. — Jam nie śpiewak ludu,
Którego piosnkę kiedyś kmieć powtórzy,
Obejmie tęcza, wicher poda burzy;
Ni śpiewak ludzi nieznanych ludowi...
— Tomów *in quarto* — tomóm *in octavo*
Niewyśpiewałem... jak poeci owi.
Pieśń ma tam — ówdzie. Krakowie, Warszawo,
Poznaniu, Wilno, i ty, Carów miasto!
Wiecie, żem sercem rzucał bez rachuby...
— A pani mówisz: że mię znasz?... Niewiasto!
Niewiasto!... tom ci napisałem, gruby...
Jak grób człowieka:

Tu — pozwól mi Pani,
Że ci zaśpiewam *Odę do kobiety* —

Słucham.

...Myśl sama już serce mi rani...
Niebędę śpiewał — — O! ty — ty — a nie ty...
(Początek znany i który zużyto),
Zacznę inaczej...

Zacznij pan: *kobieto!...*

Pani! — tak kończy się, nie zaś zaczyna,
I w tem jest cała trudności przyczyna...

Zacznij pan, jak się zdawać panu będzie...

Pani! — tak zacznę jak kończą łabędzie...

Oda.

Kiedy za kółkiem biegałaś po darni
Cała w warkoczach,
Mówiłem tobie: włos sobie odgarnij —
I łzym miał w oczach.

Brat twój, od rana ci błogosławiłem
Młodości cnotą;
A tyś urosła i niewiesz czemć byłem...
Brzydka istoto!

Radbym ci za to wziąść te złote sploty
I obciąć nożem, —
Albo uknować jakie wielkie psoty
Z aniołem-stróżem...

Bo byłem smutny — a kto przyszedł do mnie?
Nie ty — o pani!
Gdy krew i ogień i fala koło mnie
Wrzały z otchłani..

Bo byłem blady — a róża z za kraty
Dała mi wonie,
I w puszczach byłem, a mech mi brodaty
Kładł się pod skronie...

I smutki ludzkie, prawie smutki Boże —
Znam po nazwisku;
Zawiści chude brałem na obróże
W piekieł ognisku.

„Eurydyce! miałbym mówić prawo,
Pozdrów mię, proszę..."
I Andromacy rzec: „ksieni! łaskawo
Patrz, ile znoszę..."

Nie, jak Eneasz, ja piekielne groty
Przeszedłem — o! nie:
Bo żałowaliście mi rózgi-złotej,
I ziół na skronie,

Gdym nogę bosą stawił z dumą wielką
Na zamieć czasów,
A niesplamiłem ci łzy mej kropelką
Wstążek, atłasów!...

Anim gazowy oberwał ci welon,
By otrzeć skronie,
Choć nie duch jestem; ale jestem wcielon,
Pomny o zgonie...

Dla tego znam cię *Realności-wdowo!*
I znam twą śliczność,
I powiem tobie tylko jedno słowo:
— Tyś... jak... publiczność.

Cypryan Kamil Norwid.

KONKURY WIECZNIE TRWAJĄCE,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

O wszystkich tych trzech miano porozumienie, że mniej więcej myślą o p. Wandzie, do czego być może, że się to najwięcej przyczyniło, iż byli najbliższymi młodemi sąsiadami, i że najczęściej w domu pp. Michałów bywali.

Pan Michał z tych trzech, wolałby Lucyana, tak ze względów majątkowych, jak i z tego, że on najwięcej mu swojem umiarkowaniem do usposobienia trafiał; pani Michałowa jednak, lubo nie zdecydowała się za żadnym, atoli dotychczas najbardziej imponował pan Julian.

Dziwna to była kobieta pani Michałowa, i przykro nam powiedzieć, że miała te rzadkie typy, które w kobiecie najwięcej rażą. A więc najprzód, była niesłychanie zimną i monotonną, mówiła bardzo rzadko, lecz kiedy co rzekła, musiała doprowadzić do skutku choćby nawet nie nader godziwemi środkami. Skoro była zimną, naturalnie do duszy jej nie znalazły przystępu żadne uczucia głębsze, wrażenia tem mniej; — łza nieszczęśliwego, poryw natchnienia lub św.ętość wypadku przefalowały przed nią, zaczepiając się tylko o organ krytyczny rozumu. Zaczepiwszy się tam, przejść musiały przez rózgi nieubłaganego zimnego rozsądku, i wyjść ztamtąd przeżute, ale tylko na własną korzyść. Ta jej właściwość intelektualna była powodem, że miała pewne wyrobione zdania, od których *quand même* nie odstępowała; i była również powodem, że owładnęła dom, osobę męża i córki jedynaczki zupełnie. P. Michał był jej serdecznie wdzięczny za to owładnięcie, bo ono ratowało go często z tysiącznych zawikłań i kłopotów, i dźwigało wspólny byt materyalny; jednakże ku jego sławie wspomnieć musimy, iż często wstrząsał

lwią swą grzywę na znak, że czuje dostatecznie żelazno-sakramentalny związek. Owładnięcie córki było innego rodzaju, nastąpiło w inny sposób, a nawet żeby dać poznać, że ono nie było właściwem owładnięciem, skreślimy charakter i żywot Wandy.

Zaczniem od fizyognomii: panna Wanda miała twarz bladą, z czarnemi głęboko utkwionemi, błyszczącemi oczami, z noskiem greckiego rozmiaru, z czółkiem alabastrowej białości, i z podwójną kosą czarnego warkocza po nad niem. Wysoka i smukła, kiedy szła, podobną była łabędziowi lśniącemu najczystszą białością swego pierza, i podobną doń z piętna melancholii. Tak jest, melancholijną była panna Wanda, zkąd i dla czego? Zajrzyjmy w jej duszę, w jej domowe wychowanie dziecinnych lat, tych lat, które zawsze są pierwszą podstawą dalszych kolej życia, woskiem, na którego powierzchni odbite rysy później trochę się tylko zacierają, lecz nigdy zniknąć nie są w stanie.

Do lat ośmiu swego życia bawiła się swobodnie z jedyną osobą, starą swą boną panią Biedosz. Powiadamy jedyną, bo głowy matki nie widziała nigdy schylonej z miłością nad swem łóżeczkiem, całującej z rozkoszą jej malutkie czółko, bo oddechu troskliwego matki nie słyszało w chorobie nigdy jej ucho, ani pieszczot nie zaznało jej serce. Widziała ją tylko wtedy, gdy miała być ukaraną, o! wtedy zjawiała się surowa matka, i milcząco a nieubłaganie wydzielała karę, poczem znów zostawiała jej młodą duszyczkę na łasce poczciwej ale prostej bony, nie dziw więc, że malutka Wandzia uciekała za jej zbliżeniem, kryjąc się po najdalszych kątach ogrodu i domu.

Tak było z matką — ojciec mniej był surowy, owszem czasem serdecznie się z nią bawił, ale to było tylko czasem, to jest bardzo rzadko, — p. Michał bowiem odsyłanie dziecka do bony, i trzymanie go z dala od rodziców, uważał za wyborny sposób prawdziwie pańskiego wychowania, czego przykłady pozorne widział sam w kilku hrabiowskich domach.

Gdy Wandzia przyszła do lat ośmiu, poczęto myśleć o edukacyi. A więc przyjęto jej zwykłym i używanym trybem bonę angielkę, madame Francuskę, i Niemca guwernera, a odpędzono p. Biedosz jako sprzęt już zużyty. Bona zaczęła Wandzi wykrzywiać usta i kłaść języczek między ząbki po angielsku, madame uczyć pacierza po francusku, a Niemiec od razu botaniki— w ogóle jak powiadał *alle Elementar-Natur-wissenschaften* po niemiecku. Małej Wandzi trochę to nie szło do głowy, tem bardziej do serca, płakała przeto i skarżyła się często przy obiedzie, ojcu szczególniej; — ojciec wtedy popatrzał nieśmiało na żonę pomrukując:

— Rzeczywiście... może to za dużo dla dziecka?...

Lecz pani Michałowa nie odpowiadając mężowi, odpowiadała Wandzi:

— Cicho, nie płakać, uczyć się.

I nie było już na to rady, Wandzia uczyła się dalej na pamięć. Wyuczyła się więc wkrótce angielskiego, francuskiego, niemieckiego języka konwersacyjnie, nie gruntownie, umiała grać trochę na fortepianie i kilka aryj włoskich śpiewać — i to było już wszystko. A dusza tymczasem spała snem głębokim, beznadziejnym, spała snem dwojakim, bo nie znającym żadnego z szczytnych i świętych uczuć, i nie pożądającym ich wcale. Martwość myśli i wrażeń ogarnęła zupełnie dorastającą Wandzię—nie przeczuwając nawet życia, ludzi, stworzenia, nie starała się ich też odgadnąć; wszystko, cokolwiek istniejące widziała, wydawało się jej tak wynikające samo z siebie, tak nie potrzebujące żadnych pytań, ni ciekawości, tak zrosłe z jej bytem, jak gdyby rzeczywiście do jej życia przywiązane było istnienie salonów, w których mieszkała; eleganckich sukni, które nosiła; lokai, którzy jej posługiwali. Co po za ten zakres wychodziło, co po za tym obrębem być mogło, ani jej nie ciekawiło, ani serca jej do prędkiego bicia poruszyć nie mogło, tam dalej bowiem wyobrażała sobie podobne do swojego lub mało co odmienne życie. Młodość nie była dla niej pachniącym kwiatem, tem niewyczerpanem źródłem bolów, porywów szczęścia, nadziei, przedsięwzieć, natchnień i śmiechu,—nie znała młodości, bo młodość jej zabito edukacyą powierzchowną, suchą, zimną, a nadewszystko obcą. Pacierza nie uczono jej w języku, który w krwi miała; przez sztywność jakiegoś dobrego tonu nie dano się zbliżyć do jej duszy codziennemu biegowi rzeczy, praktycznie uczącemu o Bogu i ludziach; nie dano uczciwej książki lub rozmowy naprowadzającej myśl młodą na tysiączne marzenia tak nieodbicie dla niej potrzebne; ale odgraniczono ją przez wszystko od wszystkiego. Matka system ten wychowania uważała za kamień węgielny przyszłej jej karyery światowej, a więc i szczęścia, nie miała więc wyrzutów sumienia, bo ją kochała po swojemu. A chociaż w dojrzewającej panience spostrzegała jakąś apatyę, jakąś bolesną obojętność, jakieś bezmyślne zadumanie, i chociaż wtedy drgnęło coś w duszy matki, jakby żal za pieszczotą dziecka, to jednak wnet pocieszała się jej urodą, jej wspaniałą postawą, jej salonowemi ruchami, jej marmurowo-pańskim tonem, i uspokajała się zupełnie.

Kiedy Wandzia doszła do wieku, w którym rodzice inicyują dzieci do stanu małżeńskiego, otrzymała również poważno-sentencyonalno-moralno-psychologiczne nauki. Więc najprzód rzekła p. Michałowa:

— Wandziu, przyszłaś już do tego wieku, w którym... — i zrobiła pauzę, zostawiając resztę rumieńcowi i domyślności córki — ale córka, mówiliśmy, nie mogła być domyślną, pani Michałowa mówiła więc dalej:

— Dostałaś takie wychowanie, taką edukacyę, że nie potrzebujesz się już powstydzić nigdzie, ani przed nikim...

Wandzia wzięła almanach z złocistemi okładkami do ręki, i machinalnie przewracała kartki.

— Potrzeba tylko, abyś się dobrze rozpatrzyła..... młodzież bywa u nas różna i licznie, bywać będzie jeszcze liczniej — rozpatrz się przeto, cóż pan Julian naprzykład?

— Pan Julian — odrzekła ziewając Wandzia — gada i gada, ale to mi bynajmniej nie szkodzi.

— O to nie chodzi, moje dziecko, tylko jak ci się podoba?

— Podoba?... ja sama niewiem.

— A pan Lucyan?

— Także mi nie zawadza, to mnie tylko kochana mamo martwi, że przez tych gości ciągle w salonie siedzieć muszę, i słuchać tego co gadają, a co mnie wcale nie bawi.

— No a Michaś?

— Michaś? — trochę się ożywiła — ten to przynajnajmniej mnie zabawić umie, taki *dziwnie* wesoły!

Pani Michałowa westchnęła czegoś bardzo ciężko, ale egzamin pierwszy na tem się skończył.

Częste przeto odwiedziny pana Lucyana, Juliana i Michasia, i ta rozmowa matki bynajmniej nie sprowadziły Wandzi na jakieś myśli badające przyszłość, mające rozjaśnić nowe nieznane światy. Spokojna była w obec wszystkich wydarzeń ową spokojnością głazu, w którego wnętrzu nic innego znajdować się nie może, jak tylko ten sam układ kamienny. Nie znała prawdziwej miłości dla rodziców, jak w ogóle nie znała żadnego żywego uczucia, przywiązanie ku nim miała z przytyknienia i zresztą z jakiejś przyjętej konieczności.

Czuła potrzebę być raz w tydzień w kościele, także z przywyknienia, — i śpiewała, grała również dla tego, słowem, była czystą maryonetką moralną.

W dniu obiadu, na którym znajdowało się kilkunastu sąsiadów, Wandzia była posępniejszą niż zwykle, tłómacząc się wielkiem fizycznem utrudzeniem; nieprzypuszczała jednak że było to raczej moralne, że była to raczej owa pustka wewnętrzna, czczość i nuda, ów brak celu, zatrudnienia dla duszy, który ją prawie morzył snem ciągłym na jawie.

Posępność jej chciał rozpędzić koniecznie stojący za jej krzesłem Michaś, chichoczący się i szeptający bezustannie, i siedzący obok p. Julian, którego tam pani Michałowa niby przypadkiem usadowiła. Naprzeciw Wandzi siedział p. Lucyan, obok niego p. Mateusz, admirator gustu, bogactwa, domu, koni, bydła i rozumu pana Michała, dalej pan Kaufman, Prusak, który niedawno w sąsiedztwie zakupiwszy wielkie dobra, i zamyślając jeszcze, jeśliby się *jakim trafem*, dało więcej zakupić — już tem samem nie był figurą do pominięcia. Pani Michałowa siedziała w środku, milcząca jak zwykle, po cichu tylko wydająca rozkazy obnoszącym potrawy lokajom, tuż koło niej pani Karolowa znana poetka, i kilka starych pań i panienek uzupełniających zawsze tło każdego obrazu a przypominających ugarnirowanie niezbędne każdej sztuki mięsa. Po drugiej stronie siedział najprzód pan Bonawentura ów dawny wojskowy, pan Stakkato, pan Wojciech, słynny awanturnik, admirujący jednak bardzo pana Michała, p. Zefiryn ów chodzący Momus, i wreszcie pan Michał, który co moment się zrywał, biegał, obejmował sąsiadów za szyję, ściskał, całował, słowem całe towarzystwo ożywiał.

— Daję wam słowo, że nigdy mi tyle przyjemnie nie było widzieć was u mnie jak dzisiaj, bo to sam przyznasz mój Wojciechu, co to dziś za czasy; wprawdzie na pana Bonawenturę Dobrodzieja mógłbym się gniewać, że tak rzadko łaskaw na swego sługę i przyjaciela, no ale... — i poskoczył z kielichem do niego, krzyknął: — panowie zdrowie naszego Nestora zasługi, i począł się z nim głośno całować. Wszyscy powstali z uszanowaniem i wypełnili zdrowie, człowieka rzeczywistej zasługi. Pan Michał promienieący, podniósł kielich i zawołał:

— Zdrowie inteligencyi krajowej w ogóle, a naszej powiatowej w szczególe, zdrowie pana Stakkato!

Pan Stakkato powstał dziękując, wielu jednakże skrzywiło się niepoślednio mianowicie pan Julian. Lecz pan Julian niewiedział z kim ma do czynienia, bo w tej chwili p. Michał podszedł do niego i szepnął mu coś do ucha, na co nie uśmiechnął się wprawdzie pan Julian, bo byłoby to wbrew przyjętemu przez siebie seryo, ale widocznie się rozchmurzył. Gawędka, podsycona dobrem winem i zabiegłością pana Michała, poczęła się na prawdę ożywiać i w hałaśliwą przechodzić. Pan Michał przysunął się do p. Bonawentury, a wszcząwszy z nim rozmowę, słuchał go z rzetelnem nabożeństwem, często gęsto tylko westchnąwszy głośno i pomruknąwszy:

— Oj tak, ot to, to święta prawda, święta prawda.

Wstał potem głęboko zamyślony, i przysiadł się do pana Juliana, którego znów słuchając, zaczął kiwać głową nie na żarty na znak przyzwolenia, aż nagle porywając się z siedzenia, porwał za kielich i zawołał:

— Szanowni państwo! zdrowie młodego ale dzielnego dyplomaty, a w przyszłości naszego męża stanu p. Juliana.

Wszyscy się prawie elektrycznie podnieśli, damy z zapałem przybliżyły kielich do ust, jeden tylko p. Bonawentura i Stakkato lekko się z miejsca podnieśli. Tak szły toasty i wiwaty, torując najwyborniej drogę do ogólnej harmonii, i p. Michał począł się widocznie rehabilitować w opinii swego kółka, gdy w tem trzeba nieszczęścia, że ktoś zaczepił arystokracyą wygadując na nią złośliwie. Głosy pro i contra zmięszały się w strasznym chaosie, wrzawa urosła do wielkich rozmiarów, kobiety się czemprędzej oddaliły, i już nawet jaki taki z osobistościami występował.

— No tu pora i czas dla mnie — pomyślał pan Michał, i grzmiącym tonem poprosił o głos. Wszyscy jako gospodarzowi i człowiekowi mającemu dzisiaj *son beau jour* dali go natychmiast.

Pan Michał zrobił dość długie przemówienie, mające dowieść potrzeby przemówienia, potem przeszedł w jądro dysputy, aż w końcu (ku wielkiemu zdziwieniu kilku zwolenników arystokracyi), przyłączył się do potępiających arystokracyą. Huczne brawo, mianowicie pana Mateusza, zakończyło dzisiejszy tryumf gospodarza.

Pan Mateusz zbliżył się do pana Wojciecha i poufnie szepnął mu do ucha:

— Po takiej przemowie Mości Dobrodzieju, to się człek musi czuć silnym, — i ciągle już chodził między innych, a gwarzył z uwielbieniem o filarze powiatu, panu Michale.

Po obiedzie przeszli się wszyscy do wielkiego salonu, obróconego tą razą na fajczarnię.

Palono więc wyborne hawańskie cygara i tureckie tytonie, przechodzono się po dwóch, po trzech, ten opowiadał o swoich urodzajach, tamten o swojej biedzie, ten o polityce, tamten znów jakiego ukrytego mola wykrawał na wierzch, aż nagle któryś z gości stanąwszy przed wielką jakąś ramą, głośno zapytał:

— A to co?

— Co, co? — przybiegli wszyscy.

— A to, kochani niewiecie, co to jest, — zawołał p. Michał przedzierając się przez tłum do obrazu — toście jeszcze nie widzieli? otóż ja wam opowiem, ten,— pokazał palcem na fotografię — to książę Jan, ten co siedzi na fotelu i tak poufale i swobodnie bawi się włosami tego drugiego, to hrabia Felix, ale któż jest, pytam się ten, którego włosami hrabia Felix się bawi?— dodał śmiejąc się w głos. — Nie wiecie kto? otóż ja, wam powiem, to ja, ja w mojej osobie — i rozśmiał się jeszcze głośniej.

Ale nagle nastało głuche milczenie. Kilku jakby oparzonych odsunęło się od fotografii, kilku odwróciło się nieznacznie, a wszyscy czegoś się zwarzyli. Pan Michał nieuważając tego w zapale, krzyczał dalej:

— Ależ to nie koniec, ja wam jeszcze więcej takich fotografij pokażę, ja ich mam ze dwadzieścia, a mieć ich będę jeszcze daleko więcej...

Teraz nie mogli się uhamować niektórzy, a jeden z nich krzyknął:

— To mi nieprzyjaciel arystokratów, co pozwala sobie grzebać we włosach, jabym tam...

Drugi werydyk znowu przystąpił do p. Michała i rzekł:

— A toż się pan masz z czem popisywać!...

Pan Michał strętwiał.

— Ależ pozwólcie Dobrodzieje... to tylko pamiątka..,

Chwycił p. Bonawenturę za rękę, p. Bonawentura grzecznie się wyśliznął, narzekając z ubolewaniem, że mu się spieszy do domu. Za panem Bonawenturą poszli wszyscy, a został tylko pan Mateusz admirator pana Michała, i poczciwy Michaś, lecz nie celem admirowania, tylko pocieszania okrutnie skonfundowanego ojca ukochanej przez siebie Wandzi.

Długą jeszcze chwilę stał pan Michał jak wryty na miejscu, aż schwyciwszy się za głowę, z przekleństwem pobiegł do żony.

— No cóż? — zapytała zimniuteńko żona.

— Cóż? a niech wszyscy d....i, toć ja rozum tracę, czego oni chcą?
— Jakto, przecież dostał brawo?
— Piękne mi brawo było na końcu, powiadam ci żono, wszyscy odjechali z kwasem na mnie, wszyscy, nawet p. Julian i Lucyan.
— Lecz wrócą?
— To też to, że może nie wrócą!
My jednak zobaczymy czy wrócą.

(C. d. n.).

Przegląd dziełka:

LISTY KRAKOWIANKI

jako nagroda dla pilnych Panienek.

Kraków, nakładem czcionkarni (sic) Ż. J. Wywiałkowskiego. 1861. (8vo str. n. l. 4, l. 109).

Już sam tytuł książki domaga się po nas jej ocenienia: bo pisma dla młodzieży przeznaczone, jako mogące wpływać zbawiennie lub szkodliwie nie tylko na nią, ale i na cały rozwój społeczno-narodowy, są przedmiotem wielkiej wagi dla ludzi myśli i czucia; bo tych pism tak mało mamy, że każde dobre z największą powinniśmy witać radością, a każde liche jawnie i głośno potępić. Dla czego tak czynić powinniśmy ztąd jasna, że książka dla młodzieży lada jaka, tem bardziej zła, u nas dla tego więcej złego wywiera wpływu, niż indziej, ponieważ jej stosunkowo więcej egzemplarzy rozchwytujemy, niż się to dziać może w krajach, w których jest potężnym dział literatury poświęcony młodzieży.

Zanim o *listach dla pilnych panienek* damy swoje zdanie, przytoczymy w całości jeden z nich, który mógłby śmiało mieć nadpis: Słowo i Czyn, albo Pozór i Prawda, albo Przyzwoitość i Serce, albo Zdanie w pamięci, a Przekonania brak, albo Tressura i Wychowanie, albo Bojaźń opinii a Bojaźni Boga brak, albo Dobra Nauka a Przykład zły... albo...

Gdy się Zacna Czytelniczko, zastanowisz nad mnóstwem nadpisów, pod któremi wedle nas mógłby stać list tutaj umieszczony, pewni jesteśmy, że go z uwagą przeczytasz i zbawiennych nad nim dla siebie i rówienniczek swoich uwag poczynić bynajmniej nie zaniedbasz.

Oto on jest:

Kochana Filipino! Dostałam kilka dzieł moralnych, które radabym z tobą czytać, ale kiedy tak być nie może, zrobię ci tu mały wyciąg jednej powiastki — jest-to obrazek tego, jak ludzie w słowach są szczytni a w działaniu mali. Posłuchaj.

„Moje wnuczęta, dla tego wam Bóg dał takie dostojne urodzenie, abyście się opiekowały kiedyś niższemi— dla tego wielkie dobra dostaniecie, abyście wspierały ubogich. Czemżebyśmy się różnili od gminu, jeżeli nie dobroczynnością. Tak moje dziatki, dzielcie się wszystkiem z bliźniemi, niech wam nędzarz nigdy napróżno w drogę nie wejdzie—niech bieda nie opuszcza waszego progu bez wsparcia, miejcie łzy dla nieszczęśliwych, pociechę dla stroskanych, worek otwarty dla potrzebnych.“ Tak mówiła księżna P... głaszcząc płową główkę wnuczki, ładnej jak aniołek. Dobrze, dobrze, babuniu — o! to musi być miło dawać jałmużnę — wołały wszystkie wnuczęta razem. Teraz pójdziemy się przejść, słońce już mniej dopieka. Janie, daj paniczom płaszczyki. Kososiu, przynieś mi burnus z aksamitem i kapelusz, ubierz także pannę Ewelinę.

Wychodzą ostrożnie, powoli, po pańsku, liberya toruje drogę, by kto natrętny nie zepsuł Jaśnie Pani humoru. Przy drzwiach stoi jakiś człowiek — zapewne nieszczęśliwy, bo smutny, ubogi, bo pokorny, schylony do ziemi, idzie nieśmiało ku księżnie, trzymając małą dziewczynkę za rękę; nie są oni obdarci, nie noszą na sobie tej cechy obrzydliwej żebractwa—lecz biada temu kto spojrzawszy na nich, odmówi im wsparcia. Trzeba być bardzo poziomym, aby tylko w latach widzieć nędzę, chociaż prawdę powiedziawszy jest więcej takich, co nie uwierzą, aż ujrzą: dla ludzi serca, dosyć myśli, dla ludzi cyfry potrzeba znaków zewnętrznych, u nich wszystko od pięciu zmysłów zależy, wszystko od wrażeń zewnętrznych, nie od popędu serca; uniesienia szlachetne są dla nich szałem, wyższe wyobrażenia o rzeczy egzaltacyą, przesadą. Otóż nasz biedak nie miał dziur w swej sukni, tylko nić każda, z pod wytartego czasem i słotą włosa, wołała głośno ze łzami, rzewnie, wołała z rozpaczą: „Pani, Księżno, zlituj się, daj wsparcie“ — a nikt jej nie rozumiał, bo wołała głosem konającego na puszczy — tam go nikt niesłyszał prócz Boga. Bóg czasem doświadcza ludzi, zsyłając im na drogę żywota istoty bez serca, bez duszy. Często sądząc, że nas otaczają ludzie, chodzimy tylko wśród lalek wypchanych, malowanych, strojnych w atłas, futro, kaszmir. Pióra, blondyny, koronki, oto ich wartość; tytuły, ordery, dostojeństwa, w loteryą wygrane, zysk 25 od sta, oto ich uczucie. „Precz z drogi“, woła pokojowiec upstrzony w liberyą — jakby lalka na nitce — „usuńcie się, Księżna Pani idzie zażyć świeżego powietrza.“ I ta sama księżna, ta sama matrona, co przed chwilą nauczała swoje wnuczęta, że człowiek nie dla siebie żyje, że jednym dał Bóg więcej, aby się dzielić z drugimi, ta sama spojrzała na owego człowieka z pogardą, jakby chciała powiedzieć: poco tu to żebractwo— i poszła dalej, nie zastanawiając się, że ten biedak wiedzie za rękę drobną taką dziecinę jak jej wnuczęta, że i ta dziecina potrzebuje sukienki, bułeczki, cacka; że przyszłość tych wszystkich istotek w niepewności leży; że częstokroć te kwiaty, co razem zakwitną, różnej od siebie ulegną kolei; że burza losu i te zmiata, co od poranku dni swoich okryły się różanną barwą, jak i te, którym od samego urodzenia urągała zimna rosa, lub dopiekało natrętne słońce. Biedny kwiateczku, uboga dziewczynko, przyzwyczajaj się wcześnie do upokorzenia; choć twoja łodyżka takby wzróść mogła w górę, jak innych: zwiędniejesz, uschniesz, pochylisz główkę i zniszczejesz.

Już znikła księżna pani w zakącie ulicy, — za nią dziatki strojne, wesołe, hoże, mówią do siebie: „szkoda, że babunia nic temu człowiekowi nie dała; czy on nie biedny?“ Czem miększy kamień, tem się prędzej na nim postać wyryje — ale też zato prędzej się zatrze. Młodość, wosk, kamień, powierzchnia wody (?), mdły wietrzyk drasnął, kurzu warstwa padła, wszystko zniknęło! i dzieci pobiegły, zapomniawszy o nauce babki. Jakże myślisz, czy i o przykładzie? O nie! przykład właśnie zostawia wrażenie na dzieciach, których umysł tylko wcieloną naukę pojmuje; wyrazy piękne, szczytne minęły; przykład brudny, rzeczywisty pozostał — i jak bielmo na oku zawsze przeszkadzać będzie. Ludzie, nie mówcie tak pięknie, wiatr wasze słowa roznosi; lecz działajcie szlachetnie, bo czyn wieki przetrwa. Furta pałacu została otwarta; sień pusta jak serce bogacza; u progu stał jeszcze ubogi, łza potoczyła się z oczu, spojrzał na swą dziecinę, jednem wejrzeniem ogarnął jej przyszłość, przyszłość smutniejszą od teraźniejszości: teraz choć żebrał, ale czuwał nad jej potrzebą każdą, a potem, gdy on zawrze powieki, opu-

szczona sierota padnie ofiarą biedy; teraz dziecię jeszcze może iść po ulicy bez wstydu, ale później.... Westchnął raz jeszcze głęboko, łza ognista spadła po licach starego żołnierza. Wstrząsnął się, jakby dla odpędzenia natrętnej myśli, ścisnął pięścią i pociągnąwszy dziecię za sobą szedł dalej, szedł jak pijany bez celu... nic go nieobchodziło do koła, bo na cóż się miał tymi zajmować, którzy o niego niedbali.'

Nieprawdasz kochana Filipino, że często zdarza się widzieć coś podobnego? Wyrazy wielu osobom płyną z ust miodem, ale w ich czynach goryczy co niemiara. Alboż to raz słyszałam, jak pyszni wygadywali na pyszniących się; jak naganiała jedna panna zalotność drugiej, a sama nieopuściła sposobności podobania się. Często chciwy powstaje na wadę wieku, w którym spekulacya górę bierze. Rozum, cnoty, doskonałość, dobre rady mamy dla drugich; ale nam samym jakże tego wszystkiego niedostaje w pożyciu. Czyn i słowo stały się teraz czcze, więcej odrębne, choć w duchu prawdy winny być w najściślejszych związkach. Tobie mam także coś podobnego zarzucić: rozumujesz tak pięknie o przyjaźni, niema co mówić; ale rok minie nim raz napiszesz. Tak się nie robi, przecież z przyjaciółką jest zwykle co mówić, choć się z nią razem mieszka, cóż dopiero kiedy ich rozdziela miasto i kilka wiosek, ale to tak, tak. — Ty sobie podobniusieńka do świata, w którym żyjesz, piękne słówka, słodki uśmiech, oświadczeń mnogo a czynu skąpo; może ja umyślnie wybrałam tę powiastkę, by ci nawiasem powiedzieć prawdę — jakże myślisz, czy tak? Popraw się nadal, pisuj częściej, ja ci też nigdy nie będę kazań przesyłać.

Twoja...

(Dokończenie nastąpi).

DWIE NIEWIEŚCIE

w rozmowie o dziełku p. Marcellego Dłużniewskiego: Dawna Polska ze stanowiska chrześciańskiego.

Czytałaś ty numer 88my *Przeglądu Powszechnego?*

Tak; jest tam obrażona i niewiasta. I to jeszcze w sposób, jaki nieprzystoi uczonemu mężowi, i zaledwo czasami wybaczyć go można rozgniewanej niewieście.

Prawdę mówisz. *Niewiasta* w nrze 33 pisze, że nam teraz czego innego potrzeba jak filozofii, a pan Dłużniewski drwiąco na to odpowiada: że nam niepotrzeba rozumu.

Taki sposób odpowiadania raczej przebaczyć można, jak rzekłam, rozgniewanej niewieście, niżli uczonemu mężowi. Bo nam to wolno czasem i przekręcić czyjeś zdanie, by je w rażącej śmieszności i niedorzeczności postawić, a tak zemścić się na tym, który je wyrzekł. Ale uczonemu mężowi to wcale nieprzystoi.

Zawsze złośliwa jesteś. Otóż za to będę bronić pana Dłużniewskiego. Może on ma i słuszność. Wszak może filozofia i rozum to wszystko jedno?

Oho! moja droga. Tem mnie niezbijesz z toru. Mój dziadek jeszcze mawiał, że tam gdzieś Cicero powiedział: *Nulla sententia est tam absurda, quam non defenderet jam aliquis philosophorum.* (Niema tak niedorzecznego zdania, któregoby już który filozof nie był bronił).

Ale bo to za Cicerona filozofowie pogańscy byli. Przeciwnie zaś, pan Dłużniewski twierdzi, że przezeń mówi Duch święty.

Twierdzi, a nie dowodzi. Woła: Niewierzcie kościołowi katolickiemu, bo błądzi. Mnie wierzcie, ja prawdę mówię. Duch święty nie włada kościołem katolickim. On mną włada. Ja jestem wyrocznią Ducha świętego. Wszak Mickiewicz przepowiadał, że Paraklet na polskiej narodzi się ziemi.

Ha, to już ja wolę wierzyć kościołowi katolickiemu, (któremu cała powszechność chrześciaństwa dziewietnastowiekowe daje świadectwo, i krocie milionów przezeń ucywilizowanych i oświeconych ludzi, hymn wiary i wdzięczności nuciły i nucą), jak pojedyńczemu człowiekowi, który nowy jakiś zatyka sztandar, a żadnej rękojmi swej prawdziwości niedaje.

A gdyby też istotnie przezeń mówił Duch święty.

Toby sam sobie sprzeciwiał, i niweczyłby porządek przez siebie ustanowiony, Duch święty dla oświecenia i naprawy rodu ludzkiego urządził Kościół powszechny, i słuchać go każe. Kto się sprzeciwia powszechnemu chrześciańskiemu kościołowi, ten się przeto sprzeciwia Duchowi świętemu. Idąc za pojedyńczymi marzycielami, błąka się po bezdrożach błędów, i staje się odstępcą Chrystusowej prawdy.

A więc słusznie X. Serwatowski wystąpił przeciw niemu w 183 numerze *Czasu*, broniąc katolickiej wiernych spółeczności.

Wystąpił, jako katolicki kapłan przeciw protestantyzmowi przez p. Dłużniewskiego w onej broszurze, jako przyszłe zbawienie narodu polskiego, sławionemu. W odpowiedzi na to p. Dłużniewski odstąpuje od historycznego protestantyzmu, a przechodzi do tego między protestantami na zachodzie i Roskolnikami bezpopowczykami na wschodzie upowszechniającego się nieokreślonego mistycyzmu i pietyzmu, który wydaje Kwakrów, Metodystów, Mukerów, Mormonów, Swedenborgianów i rozmaitych jeszcze moskiewskiego raskołu fanatyków, Lipowanów, a i u nas niestety wyroił się Towiańszczykami, jako najniewinniejszymi może braćmi stryjecznymi tamtychże.

Na tej drodze niepójdę za p. Dłużniewskim szukać zbawienia. A przewiduję już jak mocno znowu gniewać się będzie o to, że mu odmawiamy oryginalności. Ale co do historyczno-politycznej strony jego dziełka, to mu może więcej oddamy słuszności. I tak, czyż nieprawda, że panowanie Zygmunta III w swych skutkach zgubnem dla narodu naszego się okazało?

Być może. Nie myślę tego ani twierdzić, ani zaprzeczać. Ale Zygmunt III działał zupełnie według myśli pana Dłużniewskiego. Czytaj str. 35: *„Na królach i przewódcach narodów cięży przedewszystkiem ten obowiązek, by w życie wprowadzać wszystko to, co życie buduje i podnosi.“...* *„O ile zaś losy narodów i państw spoczywają w rękach królów i zastępców narodu, o tyle powinni mieć oni prawo i moc odsuwania wszelkich przeszkód, jakieby mogły stanąć kiedykolwiek na drodze prowadzącej ludzkość do zerwania owoców spełniającej się ewangelii.“........* *„Gdyby więc okazało się, że jedną z główniejszych przeszkód, wstrzymujących postęp i rozwój ducha ludzkiego, jest błędnie wykładana wiara, to już interes i dobro państwa wymaga tego, aby skrzywione pojęcia religijne były sprostowane.*

Jeźliż w tym duchu działał Zygmunt III, to p. Dłużniewski powinien stanąć na czele komitetu, zbierającego składki na postawienie np. we Lwowie takiego posągu na cześć Zygmunta III, jaki stoi w Warszawie.

Wyobraź sobie, że znalazłam nawet w dziełku p. Dłużniewskiego obronę obrzydłej rzezi Bartłomiejskiej w Paryżu.

Czy może być?!

Czytajże co pisze na stronnicy 193 o rzezi Humańskiej: *Co daje powód do wniosku, że tak szlachta jak i księża musieli sobie na to zasłużyć. Bo aby być uznanym za nieprzyjaciela jakiejkolwiek wiary, potrzeba tego dowieść czynami, potrzeba się okazać prześladowcą tej wiary.“* Położę teraz zamiast słów: *szlachta i księża*, wyraz: *Hugonoci*, a masz uniewinnienie rzezi Bartłomiejskiej, którą przecież niemożna inaczej sądzić, jak i rzeź Humańską.

Na takie *dictum acerbum*, nic nie pozostanie, jak tylko broszurę p. Dłużniewskiego uważać za nieistniejącą.

X. W. Serwatowski.

Opisanie ryciny mód paryskich za miesiąc październik:

(Dołączają się ryciny, dla Prenumerujących na nie).

Tualety letnie. *Ubranie pierwsze:* Suknia z białego muślinu. Na spodnicy małe falbanki skośno dawane, i u góry ozdobione tiulową bufką nawleczoną ponsową wstążką. Stan zmarszczony do paska, przy rękawach cztery falbany i dwie bufy, a powyżej ramienia trzy małe falbanki. Pasek zwany „duchesse“ z wstążki białej z ponsowym brzeżkiem. Kapelusz okrągły „Tudor“ przezwany, ozdobiony wieńcem z wiśni i kokardą z czarnego aksamitu. Na głowie siatka grecka z ponsowej szneli z kokardami aksamitnemi.

Ubranie drugie: Suknia z tkanki mozambickiej (tisse mozambique) w kratę niebieską i zieloną. Na spodnicy szeroka falbana sięgająca aż do kolan i ozdobiona od góry krzyżami z niebieskiej i zielonej wstążki. Stan pod szyję do paska, rękawy fałdowane u góry, pół-szerokie i ubrane takiemiż krzyżami co spodnica. Rękawki i kołnierz muślinowe. Burnus takiż jak i suknia. Kapelusz biały włosiany, ozdobiony niebieską wstążką i białemi różami.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.